

„Pętla”

Początek I rozdziału

Zaduszki nad Wartą

***Poznań, Łazienki Rieczne,
środa 2 listopada 1938 roku, ósma z minutami***

Topielec leżał twarzą do dna, kołysząc się na mętnej wodzie. Anemiczne fale Warty wprawiały jego popielaty korpus w makabryczny płas. Wyglądał dość oryginalnie jak na zaawansowaną jesień – pławiał się bowiem w rzece odziany tylko w slipy. Zupełnie jakby kilka godzin wcześniej pomylił porę roku, wskoczył do lodowatej rzeki i wyzionął w niej ducha – niechybnie na skutek ataku serca. Nad denatem pochylało się z powagą trzyosobowe konsylium. Największy z mężczyzn, słusznych rozmiarów jegomość pod czterdziestkę, ubrany w eleganckie spodnie i modny płaszcz od Konkiewicza, czochrał prawą dłonią rozwichrzzone baki. Na jego szerokim obliczu malowało się zdumienie, pomieszane z niepewnością.

– I powiada pan, że znalazł nieboszczyka po siódmej? – zagadnął w zamyśleniu w stronę staruszka, który przestępował nerwowo z nogi na nogę, chuchając przy tym w zmarznięte dłonie.

Watowana kamizelka na chudych plecach dyrektora Alojzego Wuttkego najwyraźniej nie dawała mu należnego komfortu cieplnego.

– W rzeczy samej, panie komisarzu. To było nie później niż kwadrans po siódmej. Robilem właśnie jak co dzień obchód i...

– I natknął się pan na tego amatora kąpeli – mruknął Zbigniew Kaczmarek, komisarz wydziału śledczego poznańskiej Policji Państwowej.

Puenta raczej nie przypadła do gustu wiekowemu szefowi Miejskich Łazienek Rzecznych.

– Za pozwoleniem pana komisarza – odezwał się drżącym głosem. – Nie sądzę, żeby ten delikwent istotnie zażywał dzisiaj kąpieli...

Kaczmarek rzucił w jego stronę szybkie, poirytowane spojrzenie. Z szacunku dla siwej głowy powstrzymał się jednak od ciętego komentarza.

– I ja tak sądzę – powiedział. – Choć gacie na jego tyłku miały nam zasugerować coś innego...

Wuttke zrobił duże oczy.

– O czym pan komisarz mówi? – zapytał.

Kaczmarek zignorował pytanie. Zamiast odpowiedzieć, schylił się z wysiłkiem jeszcze niżej i raz jeszcze przyjrzał szyi denata. Czerwona pręga pod prawym uchem nie dawała mu spokoju.

– Nowak!

– Na rozkaz! – Trzeci z mężczyzn, najwątleszej postury, odziany w granatowy mundur przodownika, wyprężył się jak struna.

– Gdzie są nasi technicy, do diaska? Chyba kazałem wam po nich dzwonić! Piegowata twarz rudzielca wykrzywiła się w sztucznym uśmiechu.

– Dzwoniłem z Łazienek, panie komisarzu. Pięć minut temu. Odebrał aspirant Borowczak. Mówił, że zaraz...

– Co za ludzie! – warknął komisarz. – Co za pokolenie! Nie mają poczucia czasu. Nie mają! A doktor Marciniak zawiadomiony?

– Wedle rozkazu, panie komisarzu!

– To ładnie, Nowak. Bardzo ładnie. Może będą z was jeszcze ludzie...

Wypowiadając te słowa, komisarz wyprostował plecy, w duchu przeklinając swoją wagę. Wiele dałby, aby zgubić w pasie nieco centymetrów ze szlachetnej spuścizny po przodkach.

(...)